TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 18. *Chicago, Ills., 29 Października, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 – 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Zdziwił mnie ten targ niesłychanie, bom tylko dla żartu taką sumę stawił, i nigdy mi to ani przez głowę nie przeszło, aby się Borawka na taką nizką cenę zgodził. A trzeba wiedzieć, że regiment dragoński Wielopolskiego należał do najlepiej usztyftowanych, i że w samej rzeczy kapitania z aktualną komendą i szwadronem warta w nim była najmniej trzydzieści tysięcy. Nie mogłem tedy żadną miarą pojąć, coby to znaczyć miało, iż Borawka za tak bajecznie nizką cenę, kupno mi proponuje. Jakoż wpadłem na podejrzenie, że to nieczysta sprawa być musi, i że cały ten targ dziwny na oszustwo jakoweś zakrawa. Mówię tedy do Borawki:

— A masz Waćpan papiery w porządku i ręczysz mi za to, że forsztelacyę moją podpiszą pan szef Wielopolski i Król Jegomość? Bo jeśli Waszmość myślisz, że mnie na plewę weźmiesz, toś źle trafił, panie bracie; ja wróbel bywały, na lada lep nie pójdę, a jak mi Waszmość *ad oculos* nie wydemonstrujesz, że tu nie o frycówkę idzie, to mnie nie weźmiesz pewnie,

o tem Wasze pamiętaj!

On na to pocznie się zaklinać i przysięgać i rozpowiadać szeroko, jako ta cała sprawa jasna jest i czysta jak słońce, i jako ma dokument odstąpienia od owego oficera z okienkiem, w które nazwisko moje tylko się wpisze. Chciał mnie nawet gwałtem wlec do siebie, abym papiery zobaczył, między któremi jest i pismo pana Koniuszego Wielopolskiego, zezwalające na odprzedanie tej rangi. Ledwo się od tego wyprosiłem, aby zaraz w tej chwili nie kończyć interesu, bo bez porady Deibla nic zrobić nie chciałem, bojąc się wpaść w jaką łapkę i być oszukanym przez sprytnego łotrzyka.

I wabił mnie tem interes i straszył; więc chciałem dylacyi na dwa dni, aby się pierwej ów pojedynek odbył z trzema towarzyszami, z którego, nie mogłem wiedzieć, ażali żyw wyjdę —ale tym razem zaciął się Borawka i za konieczną kondycyę stawił, abym się nazajutrz rano już determinował i opłacił. Stanęło tedy na tem, że jutro rano przyjdzie z papierami na moją kwaterę i odmowę lub pieniądze weźmie.

Tak mi ta sprawa kolkiem stanęła w głowie, że zapomniałem nawet o przygodzie, którą miałem z pijanym Goliatem u Mursza, i o pojedynku, który mnie czekał pojutrze. Jeżeli Borawka miał papiery co do owej kapitanii w porządku, to było to złoto a nie interes, i taki dziwnie szczęśliwy trafunek byłby w istocie nie praktykowany. A nuż znowu jeśli to zdrada a oszustwo jakie? co wtedy? Sześć tysięcy pójdzie na wiatr, a człowiekowi zostanie wstyd tylko, że się dał złapać na taką frycówkę...

Tak bijąc się z myślami wracam do mojej kwatery, a był już późny wieczór i dobrze się zciemniło. W głowę zachodzę, co zrobić z propozycyą Borawki; i tak i tak rzecz sobie tłumacząc, rozmyślam i kombinuję. Postanowiłem też sobie nie dobijać targu, jak tylko w obecności Wedelszteda i Deibla — a zresztą przespać całą sprawę a rano natchnienia szukać.

Kiedy tak idę powoli do domu, widzę jak jakaś ciemna postać, bo przy zmroku dobrze już odróżnić nie było można, zachodzi mi raz i drugi raz drogę, jakby mi się przypatrzyć z blizka chciała. Z początku nie zważałem na to, ale gdy mi ów nieznajomy trzeci raz zabiegł drogę, a potem zostawszy w tyle o kilka kroków, ciągle za mną szedł dalej, odwróciłem się i zatrzymałem na chwilę. Widzę, wzrok wytężając, że to jakiś drab jak dąb, z ogromnemi wąsiskami i z dużą brodą, ubrany tak, jak się ongi ubierali szlązcy handlarze bydła, którzy się gęsto po Polsce uwijali. Gdy tak stoję, ów chłopisko wyprostował się jak strona, ręce wyciągnął wzdłuż szarawarów, a przybierając postawę żołnierską, przemaszerował krokiem paradnym koło mnie, z respektem i głęboką subordynacyą mnie salutując.

Puściłem go naprzód kapelusza ręką dotknąwszy — a on też dalej poszedł. Nie wiedziałem co to znaczy, że mi ten jakowyś handlarz honor wojskowy oddaje, ale nie myśląc o tem, bo mi ważniejsze rzeczy ciężyły na głowie, poszedłem swoją drogą. Dochodząc już do domu, zdało mi się, że ten sam człowiek opodal stoi, jakby mnie szpiegował. Nie zważałem jednakże na to, ale wszedłem do mojej kwatery, a zapaliwszy światło, począłem się rozbierać, albowiem po dłuższej podróży zmęczony byłem i snu bardzo pożądałem.

Właśnie uklęknąć miałem do pacierza, kiedy ktoś silnie i na trzy tempa do drzwi zapukał. Porwałem się na równe nogi, bo to pukanie jakby zaczarowanym jakim sposobem od razu mnie przeniosło w owe czasy, kiedy byłem jeszcze w pruskiem wojsku. Tak pukali do drzwi zazwyczaj żołnierze przychodząc do kwatery starszych; takiego pukania nasłuchałem się przez tyle lat, kiedy do mnie przychodzili z raportem ordynanse.

— *Herein*! — zawołałem przystępując do drzwi i przypasując szybko odłożoną już szpadę, więcej z ostrożności, niż ze zwyczaju.

Drzwi się rozwarły i do izby mojej wszedł ów nieznajomy handlarz, który mnie śledził był na ulicy. Wkroczył zupełnie po wojskowym trybie, skręcił się w drzwiach w pół zwrotu, odmaszerował naprzód trzy kroki, stanął we front a nie zdejmując czapki, dłoń do niej na salut przyłożył...

Wpatrzyłem się na niego, jak na waryata, i za takowego na seryo go miałem; — on zaś nie ruszając się z miejsca utkwił we mnie oczy dziwnym sposobem, ani słówka nie mówiąc. Patrzyliśmy się tak przez chwilę na siebie w milczeniu, aż on nareszcie się ozwał:

— *Melde gehorsamst Herr Oberlieutenant*!...

I tu uciął, dalej słówka nie mówiąc. Zniecierpliwiła mnie ta komedya, więc podchodząc bliżej ku niemu, pytam go szorstkim głosem po

niemiecku, czego chce i po co mnie nocą nadchodzi!

— *Meine gehorsamst* — powtórzył handlarz — pan oberlejtnant mnie nie poznaje, a ja pana oberlejtnanta pokornie poznałem zaraz, i tu za nim pokornie przychodzę, *gehorsamst zu melden*...

Teraz ja pocznę przypatrywać mu się bliżej, aż nareszcie dobrze go oglądnąwszy, krzyknę całym głosem:

— *Scherwein*! *Wachmeister Scherwein*!

— *Hier*! — zawołał w odpowiedź Scherwein jakby przy apelu i nie opuszczając swej służbistej postawy, mrugnął do mnie swemi poczciwemi oczyma.

Był to Scherwein, wachmistrz z mego szwadronu, kiedy byłem jeszcze pruskim oficerem. Poczciwy chłop, dzielny i surowy żołnierz, służbista od trzystu granatów. Był on Szlązak rodem i po polsku mówił łamanym sposobem, bo przez długie lata w wojsku służąc zniemczał zupełnie. Nazywał się właściwie Czerwień, ale Niemcy po swojemu nazwę jego nicując językiem, w Scherweina go zmienili, (tak jak i mnie z francuzka Narvoy w rangliście pisano i Narwoa wołano).

Ten Scherwein przez dwadzieścia lat służył był już w wojsku, a kiedy ja po owem nieszczęsnem spotkaniu z werbownikami pruskimi przyszedłem do pułku dragonów, dano mnie do szwadronu, w którym Scherwein był już wachmistrzem. W jego to plutonie rozpocząłem moje twarde żołnierskie rzemiosło, i on mnie uczył mustry i służby. Polubiłem go bardzo, bo mnie łagodniej traktował jak innych, mając miłosierny wzgląd na młodą krew; za to też później, gdym ja już został oficerem, wdzięczny mu umysł zawsze okazywałem, biorąc go w moją protekcyę, i nie raz i nie dwa razy od srogiej kary go salwowałem. On też wielce był do mnie przywiązany i byłby się dał porąbać za mnie, bo mawiał zawsze z pewną ambicyą:

— Ten pan oficer to jakby moje dziecko: ja go podkarmiłem i wychowałem na wojaka; podemną się on chował i ano patrzcie, jaki mi tęgi z pod ręki wyszedł; bo czy kto tak jeździ, czy kto tak fechtuje się dobrze, i tak służbę zna w całym regimencie, jak on?

Owoż kto sobie potrafi wystawić moją radość i zdziwienie zarazem, gdym teraz tak niespodziewanie tego Scherweina tu w Radomiu obaczył! Rzuciłem się ku niemu i uściskałem go serdecznie, jak brata — ale uważałem przy tem, że on, choć się moim widokiem i dobrem powitaniem ucieszył, przecież był czegoś zafrasowany i jakby nad jaką bardzo ważną a tajemniczą sprawą zamyślony.

Ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia, pytam się ja Scherweina, co tu robi w Radomiu, czy dawno już z pułku wystąpił, czem się teraz trudni, co tam w moim regimencie słychać? — zgoła obsypałem go pytaniami, jak gradem. On mnie słuchał w milczeniu, a gdy już pytać przestałem, mówi do mnie:

— Panie poruczniku, nie wystąpiłem ja z pułku i jakem był wachmajstrem w dragonach pana grafa Koggeritza, tak jestem i do dzisiaj jeszcze, *gehorsamst zu melden*! Jestem tu tylko na komendzie, i jak mnie pan porucznik widzi, tak jestem w służbowym interesie.

— Jakto! — zawołałem — w służbie tu jesteś a ubrałeś się jakby handlarz bydła, a cóż to za taki interes służbowy?...

Scherwein zrazu nic nie odpowiedział, ale spuściwszy oczy na dół, kręcił się na miejscu, jakby w wielkiem zakłopotaniu. Po chwili podniósł oczy, popatrzył się na mnie w dziwny jakiś sposób i rzekł:

— A coby pan porucznik powiedział na to, gbyby pan porucznik wiedział, że tu w Radomiu jest nas pięciu podoficerów, samych znajomych pana porucznika, bo prawie wszyscy z pańskiego szwadronu? Jest tu ze mną i Krug i Kranzer i Lipka i Hollauf. Coby pan porucznik na to powiedział, *gehorsamst zu melden*?

I znowu popatrzył mi bystro w oczy, jakby chciał dojrzeć po mojej twarzy, czy też domyślałem się już zagadki.

— Powiedziałbym — mówię ja na to, — żeście przyjechali na remontową komendę, i że tu konie dla pułku kupujecie, jeno że to za daleko, bo wiem, że kiedyśmy dla pułku konie kupowali, to zawsze na granicznych jarmarkach. Nie raz i nie dwa razy byłem ja sam na takich komendach.

Scherwein pokiwał głową, jakby z nieukontentowania, żem taki niedomyślny, i znowu mnie zapytał:

— A cóżby pomyślał sobie pan lejtnant, gdybym mu pokornie zameldował, że jest tu z nami pan profos Schwedicke, i że tu pod jego komendą zostajemy?

— Jakto? i Schwedicke tu jest? Schwedi-

cke? a cóż on tu robi? — zawołałem z wielkiem zdziwieniem.

Był zaś ten sztabs-profos Schwedicke znany w całej prawie armii pruskiej; człek straszny i bez serca, szpieg najsprytniejszy, jakiego kiedykolwiek ziemia na sobie cierpiała. Był on głównie używany do łapania zbiegów, a osobliwie znaczniejszych, i nigdy się prawie nie zdarzyło, aby ktoś, kogo on tropił, salwował się przed krygsrechtem. Zdarzało się to bardzo często, że uciekali z swych pułków nawet oficerowie, bądźto długów narobiwszy, bądźto w inny sposób przeskrobawszy — owoż za którym wysłano tego Schwedicke, ten nie uszedł już nigdy. A był ten Schwedicke jako pies gończy, i węch miał psi zaprawdę. W rzemiośle swem taki był już biegły i doświadczony, że z pod ziemi by każdego dezertera był dostał. Okrutny był jak zbójca, twardy był na łzy i prośby jak opoka; a przekupić się też nigdy nie dał, choćby mu krocie kto ofiarował. Człowiek ten brzydkie swe rzemiosło pełnił z pasyą prawdziwą, tak się w nim całą duszą miłując, że kiedy bywało nie miał roboty, bo nikogo mu tropić nie kazano, to chodził w tęsknocie i smutku jakimś ciężkim, a bywało i chorował nawet; aż gdy mu ordynans wydano, odżywał i młodniał, i rad był a wesół do niepoznania. Nasłuchałem się ja jeszcze w pruskiej służbie rozmaitych opowieści o tym człowieku, o jego przebiegłości i sprycie, o przeróżnych sztuczkach, jakiemi chwytał zbiegów, w obcych krajach ich biorąc.

Gdy więc teraz dowiedziałem się nagle od Scherweina, że Schwedicke jest tu w Radomiu, przypomiało mi się żywo, co mi dziś rano mówił Wedelsztedt, i aby otwarcie się przyznać, mrowie mnie obiegło, choć przecie byłem w domu, u siebie, w ojczyźnie, na wolnej ziemi... Aż mnie wstyd wziął samego, żem się już na samo imię Schwedickego uląkł, to też nie dałem tego poznać po sobie, ale uśmiechając się rzekłem do Scherweina:

— Toście chyba tu łapać kogo przyjechali, że wami Schwedicke komenderuje! Powiedzże mi, Scherwein, na coście i na kogo tu w Polsce parol zagięli?

Scherwein rozglądnął się z miną tajemniczą do koła, przystąpił do okna, wyglądnął, ażali kto pod niem nie czatuje, a potem zbliżył się do mnie i tak się ozwał:

— Panie lejtnant! Sam to pan poświadczyć może, żem był zawsze żołnierz wierny, żem służbę pełnił twardo, i że sam pan obersztnieraz mnie chwalił przed frontem. Żem się nieraz upijał, to już ja sam przyznaję, żem zawadyaka był i burdę często wyprawił, to także prawda — a pan lejtnant najlepiej pono wie o tem, bo mnie nieraz od biedy salwował, swoją protekcyą mnie ratując. Nie złamałem nigdy przez całą służbę moją ani razu *befehlu*, a służbowe rozkazanie każde było mi święte, i gdyby mój pan rotmajster kazał mi był strzelać na rodzonego brata, tak na komendę *Gieb Feuer!* byłbym palnął, oczy zamknąwszy! Ale pan, panie poruczniku, milszyś mi niż brat rodzony, boś dobrem sercem i poczciwym umysłem mnie biednego królewskiego psa nieraz pocieszył i pokrzepił, nieraz groszem zapomógł, z kajdan uwolnił i od degradacyi uchronił. Przylgnąłeś mnie pan lejtnant do serca, może i dla tego, żem cię dzieckiem jeszcze do plutonu mego dostał i żem nawykł był do pana, jakby do własnego syna. Owo, panie lejtnant, dla ciebie ja po raz pierwszy służbę łamię, tajemnicę odkrywam i pana obersztera mego zdradzam. *Herr oberlejtnant von Narvoy*, my tu z Schwedickem po ciebie przyszli, *gehorsamst zu melden!*

Cofnąłem się o krok ze zdumienia, i nie wiedziałem nawet, co odpowiedzieć. Poczciwy Scherwein tak dalej mówił:

— Kiedyś ty nam panie poruczniku z odwachu zniknął, a rotmistrz o tem panu obersztowi raportował, sądny był dzień w sztabie. Nikt jeszcze nie widział przed tem pana obersztera Koggeritza w takiej okrutnej pasyi, jak po tej nowinie. Rzucał się jak szalony, gryzł szpadę, a na nas biednych drżała skóra. Cały pluton, co w onczas stał na hauptwachu, pod krygsrecht poszedł, pański rotmistrz powędrował do profosa, a i na nas, cośmy nawet o niczem nie wiedzieli, skrupiła się ta awantura, bo w swej niepomiarkowanej pasyi pan oberszter tyle kajdan, aresztów i chłost nadyktował na dzień jeden, ile tego przedtem i przez miesiąc cały razem nie bywało. Pochodziła zaś ta szalona pasya z tego, że pan oberszter bardzo sobie był upodobał w panu poruczniku, za najlepszego oficera w pułku go sobie ceniąc; a właśnie tydzień przedtem, kiedy pan zniknąłeś wraz z więźniem z hauptwachu, podał był pana do samego króla na order i forsztelował na rotmistrza... Owo ztąd

była taka zawzięta furya pana obersztera, i okrutnie był gniewny, że się tak zawiódł i przed samym królem skompromitował...

— A niechaj mi pan oberlejtnant wierzy — prawił dalej Scherwein — jako prawdę mówię a nie żadną plotkę, bo mi to opowiadał oficer z regimentowego sztabu! Panie Narwoj, panie Narwoj, po co tobie było uciekać! Służba twarda, bo twarda, ostra bo ostra; wszystko to prawda, ale owo dziś byłbyś już rotmajstrem, miał własny swój szwadron i krzyż na piersiach! A czy to nie fortuna, czy to nie piękne opatrzenie i nie ładna ranga, panie Narwoj? A tak, co ty teraz masz, panie oberlejtnant? Wstąpisz ty do tego wojska polskiego, to już nie to samo, co nasze; bo tu u was nikt o żołnierza nie dba, za nic on tu nie stoi i nic nie znaczy, a chyba od śmiechu go mają troszeczkę na pokaz! Lada szlachcic trzaśnie w kark oficera — a ty to znoś, nieboże! Co tu tobie robić, panie lejtnant — a tyś przecie żołnierzem się urodził! A choćbyś się ty i dochrapał tu czego, to prędzej lub później Schwedicke cię złapie, doprawdy złapie, bo Schwedicke by z piekła dostawił dezertera, choćby go cały hauptwach szatański pilnował, a potem co, *armer Kamrad?* kulka w łeb, i gryźże sobie w młodym wieku ziemię surową!

Trudno było tłumaczyć poczciwemu żołnierzowi, jako mi tu w Polsce milej dźwigać muszkiet niż na obczyźnie pułk cały wodzić, więc słuchałem go cierpliwie, jakbym się na wszystko pisał co on mówi.

— Słuchajże dalej, panie Narwoj — prawił Scherwein — co pan oberszter wyprawiał, aby cię dostać. Napisał zaraz do Schwedickego, ale go nie było, bo go wysłano za jakiemś szpiegostwem aż do Węgier. Posyłał tedy innych ajentów i rozpisywał na wszystkie strony pisma, aby cię dostać, bo przysiągł, że nie spocznie, póki cię w swych rękach nie ujrzy. Na nic się to wszystko nie zdało; to też skoro Schwedicke wrócił z wyprawy, zapisał go sobie pan oberszter aż z Berlina i z własnej kieszeni 200 dukatów mu naznaczył, jeśli ciebie dostawi. Owo masz tobie, panie Narwoj. Już ty jego na pewno — bo tego nie bywało jeszcze, aby Schwedicke nie dokazał swego!

— Scherwein, Scherwein! stary a ty głupi! — mówię ja na to. — Nie bywało, powiadasz, aby Schwedicke nie dokazał swego! Nie bywało, no to będzie; już ja go rozumu sam nauczę; licha on zje, nim on mnie ztąd dostanie! Bądźże ty tylko spokojny, poczciwy staruchu, i nie frasuj się o mnie. A za to, żeś mnie przestrzegł, to ci z serca wdzięcznego dziękuję, i jako mógł będę, odpłacę! Niechże cię teraz uściskam, Scherwein!

Objąwszy poczciwego wachmajstra w ramiona, wyściskałem i wycałowałem go jak brata.

— Jeszczem ja pana porucznika nie przestrzegł o wszystkiem — ozwał się Scherwein — o najważniejszej rzeczy się teraz dowiesz. Jest tu w mieście jeden mały Polaczek, co z wielką szablą chodzi, i z wszystkimi panami oficerami za pan brat żyje; nazywa się on Borawka. Czy pan zna tego Borawkę?

— Znam go od dzisiaj — odpowiedziałem.

— Owoż, panie Narwoj, bądź przestrzeżony. Jak pan tego człowieka zobaczysz, to na sto kroków wołaj jak na forpoczcie *Haltwerda!* a potem pal mu w łeb bez pardonu, bo to jest łotr i ostatnia kanalia!

— Zkądże go ty znasz, Scherwein? — zapytałem.

— Ja go nie znam, ale wiem, że Schwedicke jak tylko do Radomia przyjechał, zaraz do niego poszedł i coś z nim długo knował. Zwąchali się oni, jak dwa psy — patrzże tedy panie Narwoj, aby to nie na ciebie było polowanie! A teraz *Herr Oberleitnant*, niech cię Pan Bóg ma w swej opiece. Scherwein zrobił co mógł, Scherwein zdradził swego obersztera, Scherwein z dezerterem się porozumiał; to wszystko prawda, ale miej się ty na baczności, bo Scherwein, jak mu każą rzucić się na ciebie, usta skneblować i okuć, z pewnością spełni komendę. Bywaj tedy zdrów, panie oberlejtnant; a najlepiejby to było i dla mnie i dla ciebie, abyśmy się już nigdy nie zobaczyli, *gehorsamst zu melden!*

I wyprostowawszy się znowu po regule, Scherwein oddał mi pokłon wojskowy, zrobił zwrot w tył i wymaszerował za drzwi, zostawując mnie w zadumaniu i konfuzyi.

Krótko tylko deliberowałem nad tem, co mi począć należy. Będąc już przestrzeżonym, nie bałem się już o własną skórę, bo mi się tu między swoimi łatwo było obronić przed napaścią; chciałem jednak ukarać owych łotrzyków, co mnie aż tu ścigali, dać JMC panu grafowi

Koggeritz nauczkę, jako w tej Rzeczypospolitej, acz nierządnej i słabej, nie można przecie pruskim obersztером broić jak w własnym regimencie, a w końcu niecnocie Borawce skroić taką kurtę, żeby się w nią wlazł wraz z swoim żółtym kontuszem i ogromną karabelą, a szpetną infamię swoją nosił na łysinie, aż do końca żywota swego mizernego. Że jednak nie byłem jeszcze w zupełności świadom ani praw, ani zwyczajów polskich, i żem nigdy na własnej głowie nie poprzestawał, jeśli rada przyjacielska była pod ręką, więc umyśliłem wyszukać zaraz i Wedelsztedta i Deibla, aby z nimi złożyć na prędce małe *consilium militare*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

RUSAŁKA.

Balada Maurycego Jokai'a
tłumaczył.
Juljusz H...

W ziemi Szeklerów jest cicha, niezamieszkana dolinka, gdzie żaden głos, prócz ptasząt śpiewu i wiecznych szeptów zefiru, nie mąci pokoju. Siekiera nigdy nie tknęła olbrzymich drzew, myśliwy żaden matecznika nie wytropił.

Od niepamiętnych czasów padały stare drzewa jedne na drugie, butwiały, a na ich miejscu wyrastały inne; i te rosły setki lat, wznosząc się ku gwiazdom, a potem i te pożarł czas i robactwo, w końcu i one padły, a nikt się o nie nie troszczył. Spróchniałe już drzewa padały i zakrywały otwory niezmierzonych przepaści, gdzie ukryty potoczek szumiał i od czasu do czasu wyglądał z otchłani podziemnej.

Tam na szczycie okrągłej góry jest pewne dziwne miejsce, wielkie pole obrosłe żółtemi trawami, które wystawiają swe wąsy z tła zielonego mchu; gdzieniegdzie zaś ukazują się białe i żółte kwiateczki.

Kto wstąpi w te trawy, by urwać niezwykły kwiatek, czuje jak zapada się pod nim ziemia, jak gdyby porosty nad wodą rosnące.

Jeśli się kto ośmieli po zdradliwej łączce kroczyć, wnet zapadnie się pod nim trawa i już Boga tylko na pomoc wzywa. Lecz im więcej chce się ratować, ruszając konwulsyjnie rękoma, tembardziej ciągną go na dół zdradliwe korzenie nadwodnych roślin, krępują mu ręce i nogi, aż w końcu zapada się w niezmierzoną otchłań głębi.

Na tem wielkiem niebezpiecznem polu widne są mniejsze i większe stawy, niektóre nie większe od zwykłej kadzi, a jeśli kto ze szczytu obok wznoszącej się góry spojrzy, zdaje mu się, że setki błękitnych oczu nań patrzy, zdradliwą wabiąc go ponętą. Lecz lepiej się na to tylko z daleka patrzeć.

Po za lasem i górą w głębszej dolinie okolonej wieńcem gór, jest staw św. Anny, ciche niezgłębione morskie oko obrąbione ciemno-zielonemi krzakami jałowca. Tak ciche, tak nieme wszystko w około, jak gdyby dziś wyjrzało z pod morza to oko.

A przecież co się tu już nie działo? Bajarzowi zdaje się, że to stało się wczoraj, przedwczoraj, a jednak dawno, już dawno wszystko minęło, ledwo pamięć pozostała. Ongi, gdy jeszcze ten staw i ów tam na górze, porośnięty już trawą, był krainą bogiń i rusałek, a zielonobrody król wód na łódeczce z pianki morskiej wypłynął ze swemi złotowłosemi córeczkami, rusałkami na zieloną rzeczkę, igrając w cieple słonecznego blasku, gdy powiewne nimfy kołysały się na liściach drzew, ukrywały się w kielichu dzwonka, piły miód z kielicha kwiatów, stanęły oko w oko z konikiem polnym, lub innemi rycerskiemi robaczkami i zwycięzkie toczyły turnieje, jeździły na motylach, brzydkiemu pająkowi przedzierały tęczowe sieci, by niewinne muszki tam nie wpadały; i z tychże tkały sobie przejrzyste muśliny.

Stary król tymczasem wsunął się w wydrążoną korę zbutwiałego drzewa, zdrzemnął się w spokoju, brodę, sięgającą do kolan pokryła pleśń, włos porósł mchem, twarz zaś zaległy zmarszczki starości.

Jego śliczne córki— to rusałki; ich ciałka białe jak śnieg, oczęta niebieskie jak błękit nieba, a włosy, jak gdyby złote plecionki. Czesały się grzebyczkami z muszelek, na głowę wiły wieńce z niezapominajek i lilij, a tak zachwycająco śpiewały, że kwiatki, drzewa i trawy w niemem milczeniu słuchały, a ptaszki od nich uczyły się pieśni.

Pewnego dnia ludzie tu przybyli i podobało się im, że tu tak cicho, tak pięknie. — „Dla chwały Bożej to miejsce" — rzekli i w tej dolinie nad brzegiem stawu kapliczkę zbudowali na cześć św. Anny, na wieżyczce dzwon umieszczono i od tego czasu rok rocznie liczni pielgrzymi z Szeklerskiej ziemi do stawu św. Anny podążali. Stary pustelnik był stróżem kapliczki i ten trzy razy dziennie uderzał w dzwon, który dla zbłąkanych podróżnych był głosem zbawienia.

Lecz zielono-brody król nie cierpiał głosu dzwonka, rusałki bały się jego dźwięku, ukryły się, uleciały i nie śmiały się ukazywać nad brzegami stawu św. Anny, by białe swe ciałko ogrzewać w promieniach słońca; pieśni psalmów i dzwonienie wygnały ich ztamtąd. Wszystkie przeniosły się do górnego stawu, którego dno złączone jest ze stawem ś. Anny; a gdy i tam rażący dźwięk dzwonka dolatywał, utkały całą powierzchnię wód roślinkami, kwiateczkami wodnemi i sitowiem. Tkały bez ustanku przez długie lata, aż w końcu zamieniły staw na zdradliwe błonie, porośnięte mchem i trawą.

Tu i owdzie tylko pozostawiły maleńkie otwory, jak gdyby niebieskie okienka, przez które do ich podwodnych pałacyków dochodziło światło słoneczne. Smętny dźwięk dzwonu jednak i tu dolatywał, a stary król targał ze złości swą zieloną brodę, a małe rusałki płakały całemi dniami i nocami tak, że pasterze bali się tam zbliżyć, słysząc żałośne jęki.

Pewnego dnia, w pobliżu mieszkający gazda Szeklerski przyjął sobie juhasa, lecz zaraz go upominał, by jego wołów na trzęsawiska nie zaganiał. Lecz ciekawy juhas właśnie dla tego tam pogonił, a gdy wieczór nadchodził zapalił ognisko i grzać się przy nim począł. Zaledwo zdrzemnął, obudził go hałas, jakoby walki byków — dochodzący od strony stawu; myśląc, że to obcy byk wpadł między jego stado, pobiegł w tamtę stronę ze swoim sękatym kijem. Nic nie napotkał, lecz wpadł po kolana w wodę, że ledwo się ztamtąd wydobył.

Głos ten zdradliwy wydawał wodny ptaszek, który coraz to dalej ulatywał z krzaczka na krzaczek, nęcąc za sobą ciekawego pasterza. Ten jednak nie gonił go, powrócił zły, klnąc po węgiersku bardzo brzydko.

Gdy zaczął szukać swej, przy ogniu pozostawionej burki, spostrzegł, że jakiś stary zielono-brody człowieczek w nią się odział i grzeje się przy ognisku. Juhas uczył się tam w domu bardzo wiele o karzełkach i liliputach, więc bardzo się ucieszył, że nadarzyła mu się sposobność do pomówienia z tak osobliwą osóbką. Zaraz się też zapytał, co też jemu przyniósł?

— Ćwierć złota i worek srebra — powiada mu król wód, wykręcając wodę z brody.

— Co ci mam dać za to? — pyta się juhas.

— Przynieś mi z kaplicy św. Anny dzwon i wrzuć go do morskiego oka, tam, gdzie ten jałowiec wyrasta. Nikt inny tego dokonać nie może, tylko ten, kogo ja tam zaprowadzę.

Juhas ucieszył się i podał rękę na znak zgody.

Zielony król powrócił na trzęsawisko; gdzie szedł, pozostały ślady nóg jego na spalonej trawie.

Na drugi dzień wieczorem była burza z piorunami; juhas jednak wybrał się po ten dzwonek św. Anny. Pioruny padały przed nim do stawu, a jednak świętokradzca nie wrócił. Stary pustelnik spał snem sprawiedliwych i nie spostrzegł rabunku. Dzwon trzy razy zadzwonił, gdy go złodziej zdejmował, a taki był ciężki, że go juhas ledwie udźwignął, a przecież i małe dziecię mogłoby go unieść.

Stary król czekał nań nad brzegiem a gdy ujrzał dzwon, pospieszył z dziką radością i wydarł mu serce, i jako berło niósł go przed sobą. Za nim kroczył drżący z przestrachu juhas. „Nic się nie bój, rzecze król, wnet będziemy u jałowca."

Już i burza ustała, księżyc wyjrzał z za chmury, gdy oni dotarli do jałowca, którego korzenie aż do dna wód sięgały. Juhas utopił tu dzwon, którego jęk nawet z pod wody dolatywał. Król zaś zdjął z krzaczka jałowca zawieszone dwie torby skórzane ze złotem i srebrem. Pasterz zarzucił sobie na ramiona owe worki, pytając się z trwogą, którędy ma wracać. Stary mu tłumaczył: „Idź ciągle w ślad tych żółtych kwiateczków, które wyzierają zpośród traw, a bezpiecznie podążysz do domu".

Dobrze zapamiętał sobie pasterz drogę i w końcu wyszedł na suchy brzeg, lecz złoto tak mu ciężyło, tak ciągnęło go ku ziemi, że w końcu upadł pod ciężarem i już więcej powstać nie mógł, bo się w byka zamienił.

Szeklerski gazda zdziwił się, gdy zobaczył, że jego stado pomnożyło się o jednego dużego czarnego byka; domyślił się, że to jego pasterz, bo pozostał na nim wielki pas skórzany, na rogach zaś wisiały dwa worki ze złotem i srebrem. Biedne zwierzę tak wzdychało i łzy roniło jak człowiek.

Poczciwy gazda nie wiedział, co jest przyczyną cudu, lecz dowiedział się, że w nocy skradziono dzwon z kaplicy; pospieszył więc do miasta i kupił za owe złoto dzwon większy i piękniejszy, niż pierwszy. Zawieszono go na dzwonnicy i poświęcono, lecz gdy chciano zadzwonić, dzwon takie wydawał głosy, jak gdyby był ze skóry.

W nocy zaś wychodziły rusałki na brzeg stawu przed kapliczkę, i wyśmiewały się ze starego pustelnika, taką śpiewając piosnkę:

Gingallo!
Święty głos
Poszedł w las,
Gingallo
Pełen trzos
Zbawił nas,
Gingallo!

I dziś jeszcze znają tę piosenkę nianki w tej okolicy i bawią nią małe dzieci.

Stary pustelnik wraz z ludem chodził około kaplicy śpiewając nabożne pieśni dla ubłagania miłosierdzia Bożego, by się wrócił głos w dzwonie; — wszystko było daremne, słowa pieśni nie dochodziły do nieba.

W dniu św. Anny śniło się w nocy staremu pustelnikowi, że św. Anna zstąpiła doń z otwartego nieba i uchwyciwszy go za rękę, prowadziła do stawu, gdzie otworem weszli na dno wody. Pustelnik drżał ze strachu, lecz święta uspokoiła go i wprowadziła w nieznaną otchłań. Zaledwo się niebiańska postać ukazała w tej wód głębi, i aureola z jej czoła rozświeciła ciemnie, uchodziły z bojaźnią przed nimi potwory wodne. Pustelnik spostrzegł na dnie wód zgubiony dzwon, którego objęły uściskiem sturamienne korzenie — a stary król siedział na nim w śnie pogrążony; złotowłose córki u stóp jego również dumały.

Święta rzekła tedy do pustelnika:

— Póki ten dzwon nie będzie wydobyty z tej głębi, dźwięków dzwonu nie usłyszy okolica.

Wtem opuściła ręce pustelnika, który obawiając się, że tam pozostanie, sięgnął w bojaźni ku świętej i wtem się obudził.

Raniutko pobiegł do wsi, i opowiedział swój sen ludowi. I rzeczywiście znalazło się wielu śmiałych młodzieńców, którzy z ochotą pospieszyli na dno stawu, lecz żaden nie wrócił. Zdradliwe rusałki objęły ich w swe miękkie ramiona i dusze z nich wyssały.

Już opłakiwano wielu młodzieńców, a starzy rodzice upominali i prosili swych synów, by nie szli do morskiego oka. Poszli jednak i tam zostali. Bo błękitne morskie oczka tak ponętnie błyszczały zdaleka; czarowne pieśni tak nęciły ku sobie, że kto je raz usłyszał, już spokoju nie miał, póki go nie znalazł na łonie rusałki, która go uśpiła na długo — na wieki.

(Dokończenie nastąpi.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy te zdarzenia odbywały się w Carrow-Abbey, liczne towarzystwo zebrało się w Bangalore-Hall, siedzibie sir Jaspera Pepper, zamożnego dyrektora kompanii wschodnio indyjskiej. Dom obszerny, lecz niezbyt wygodny, leżał o siedm mil prawie od Carrow-Abbey. Był założony przez ojca sir Jaspera, który w Indyach zrobił majątek. Było to naśladowanie willi, których struktura wcale nie jest stósowaną do zmiennego klimatu Anglii. Wszystko tam aczkolwiek nowe, smutnie wyglądało, bo pieniądze choć z kamieni i cegieł cuda wyprowadzić mogą, to na nieszczęście z drzewami nie zdołają wiele dokazać, te bowiem potrzebują czasu, aby urosnąć. Dla tego też nie widać tam było tych lasów cienistych, służących do uwydatnienia krajobrazu, nie było tych olbrzymich dębów, ani poważnych wiązów, jakiemi się szczycił zwierzyniec sir Williama Mowbray.

Natomiast drogi wysypano jasnym piaskiem, na którym nie zostawiono najmniejszego chwastu i zielska, krzewy starannie były poobcinane ze zbytecznych gałązek, któreby psuły ich symetrye, wazony bez kwiatów i posągi z gipsu przyozdabiały obszerny gazon murawą zieloną okryty, pośród którego był stawek, zaszczycony szumną nazwą jeziora, w którem pływało smutnie kilka rybek złotych i srebrnych. Na mikroskopicznej wysepce wznosiła się pagoda, pod którą znajdował się rodzaj groty, służącej za schronienie dwóm nieszczęśliwym pelikanom, które bogaty dyrektor dostał z Indyi od jakiegoś przyjaciela w podarunku. Bunglore-Hall nie było jedyną majętnością sir Jaspera Pepper; ale ponieważ druga posiadłość jego położoną była w jednem z północnych hrabstw, zbyt zatem odległa od stolicy, więc rzadko miał czas odwiedzać takową.

Pomiędzy gośćmi przybyłymi znajdowali się jenerał Bouchier i jego synowiec, Miran-Hafaz z nieodstępnym Khanem, lady Harebell z córką, jakiś kolega dyrektora z żoną i pułkownik Mowbray z swoim synem Walterem, młodzieńcem dwudziestoletnim, który wraz z nazwiskiem odziedziczył także szlachetne przymioty swych przodków.

Nazajutrz po swojem przybyciu, Miran, który przywdział strój europejski, został pierwszy raz przedstawiony miss Izabelli Harebell, której piękność mocno go zajęła, jakkolwiek był zakochany w Ellenie. Ułożenie tej młodej damy, której matka nie zaniedbała udzielić pewnych instrukcyj, bardziej jeszcze utwierdziło to silne wrażenie, jakie jej uroda na młodym Indyaninie sprawiła.

Młody cudzoziemiec zachowywał większą część pojęć wschodnich względnie do stanowiska niewiast. Swobodne stosunki między osobami płci obojej, zwyczajne w Anglii, raziły jego uczucia przyzwoitości. Tańczenie walca

i noszenie wygorsowanych sukien, wstręt mu sprawiało; gniewała go ta wystawa publiczna wdzięków niewieścich, przypominająca mu niejako targi niewolników. Harebell za poradą jenerała dała córce ostrzeżenie w tym względzie. Izabella ubraną była prawie jak zakonnica, gdy jej przedstawiono zamożnego potomka indyjskich książąt.

— Jakaż to miła dziewica! — rzekł Miran zcicha do jenerała.

Izabella zaś spuściła nieśmiało oczy przed jego wejrzeniem.

— Prawda, że czarująca, — odparł stary kawaler, — i równie jest skromną jak piękną.

Kapitan Herbert stojący w pobliżu, przygryzł usta i zachmurzył się. Nie podobało mu się, aby kto inny prócz niego uwielbiał jego kuzynkę, a przecież miał poślubić miss Pepper; ale mężczyźni tak są samolubni!

Niecierpliwość Mirana pragnącego jak najrychlej ujrzeć Ellenę, nie mogła wytrzymać najmniejszej zwłoki; w godzinę więc po śniadaniu, wyjechał w towarzystwie pułkownika, Waltera i Khana, który dla powodów sobie tylko wiadomych zachował ubiór wschodni; orszak ten mały wyruszył drogą do opactwa Carrow wiodącą.

Gdy przybyli goście, sir William sam był w zamku; Ellena z swym młodym towarzyszem używali zwyczajnej przechadzki w lasku.

Jeżeli dwaj bracia nie okazywali sobie nawzajem bardzo wielkiego przywiązania, powitanie ich było przynajmniej serdeczne, a gracz nie mógł się więcej spodziewać, sumienie bowiem mówiło mu, że i na to nie zasługiwał.

XVII.

Baronet pierwszy raz dopiero widział bratanka swojego, Waltera Mowbray, którego skromne ułożenie i ujmująca powierzchowność korzystne na stryju robiły wrażenie. Nie znać po nim było usiłowania, aby się podobać i jaśnieć; wszystko w nim było naturalne, chociaż istotnie okazywał się nieco zimnym i w sobie zamkniętym; nie umiał bowiem wytłumaczyć sobie, dla czego będąc tak blisko spokrewnieni, ani jego ojciec, ani on nigdy nie otrzymali zaproszenia do Carrow-Abbey.

— Nie mogłem oprzeć się chęci uściskania mej siostrzenicy, — rzekł do brata pułkownik, przedstawiwszy mu osoby z któremi przyjechał. — Walter też pragnął gorąco poznać ciebie i swoją kuzynkę; mój młody przyjaciel z Indyi był od dzieciństwa towarzyszem Elleny; z tego więc powodu nie traciłem nawet czasu, aby ci donieść listownie, uprzedzając o naszem przybyciu.

— To byłoby zbytecznem, — rzekł sir William z rzewnym uśmiechem, — możesz być pewnym, że mnie zawsze w domu zastaniesz.

Baronet zauważał nagły rumieniec na twarzy Waltera w chwili, gdy ojciec jego wspomniał o jego chęci poznania stryja. Rzeczywiście bowiem młody człowiek unikał wszelkiej wzmianki o tem, jego duma i tkliwość zarówno dotknięte były dotychczasową obojętnością stryja względem niego; nie domyślał się wcale, coby mogło dać mu powód do takiego postępowania.

W czasie rozmowy, która wkrótce ogólną się stała, Miran był dręczony śmiertelną obawą i niepokojem. Najmniejszy szelest w drżenie go wprawiał, i badawcze spojrzenie rzucał w tę stronę okien, zkąd widzieć się dawał zwierzyniec. Serce jego tęsknota i zazdrość na przemian szarpały, ale nie śmiał objawić swoich uczuć; postawa baroneta pełna zimnej powagi i godności wzbudzała w nim uszanowanie.

— Ten portret, — rzekł pułkownik do syna, wpatrującego się uważnie w malowidło Van Dycka, wiszące na przeciwległej ścianie, — wyobraża twojego dziada, sławnego sir Ryszarda Mowbray, który miał dowództwo za Fairfaxa, w czasie wojen domowych.

— Znam jego dzieje, — odrzekł młodzian, — i nie pochwalam jego charakteru.

— Dla czego? — zapytał go stryj.

— Ponieważ był przyjacielem Ruperta, a powiedział księciu, że wojownicy, których zgromadził, byli do usług króla, a nie parlamentu. Mojem zdaniem, zdrada nie może nigdy przynieść szczęścia dobrej sprawie.

— Sądzisz więc, że sprawa parlamentu była sprawiedliwą? — zapytał sir William, chcąc może zbadać sąd i zdanie swojego bratanka.

— Tak jest, słuszną była w początkach.

— A śmierć króla?

— Była zbrodnią obrażającą ludzkość. Nieszczęścia tego monarchy, bardziej niż korona, osobę jego nietykalną czyniły!

— Baronet życzliwym uśmiechem zdawał się pochwalać to zdanie. Czuł on, że miło by mu było bliżej poznać młodzieńca, który mógł

zostać jego spadkobiercą w razie, gdyby syna jego nie było podobnem odszukać.

Tentent końskich kopyt dał się słyszeć w szerokiej, piaskiem wysypanej alei, prowadzącej do wystawy zamku, co zwabiło do okna baroneta i jego gości. Ellena i jej towarzysz, a za nimi stary Marcin, szybko zbliżali się ku domowi.

— To zapewne moja siostra cioteczna! — zawołał Walter, — jakaż prześliczna!

Miran nie zadawał pytania; jego serce odgadło, że to Ellena, nim jeszcze rysów jej dojrzeć zdołał.

Gdy jezdni zbliżyli się do werandy, baronet pomógł siostrzenicy zsiąść z konia, poczem przedstawił ją bratu swojemu i bratankowi z uczuciem dumy i miłości prawie ojcowskiej. Gdy pułkownik złożył pocałunek na licach młodej dziewczyny, Indyanin brwi zmarszczył, bo mu się to świętokradztwem wydało, ale gniew ten był niczem jeszcze w porównaniu z męczarnią jakiej doznawał, gdy Walter, z prawa pokrewieństwa, upomniał się także o ten przywilej.

— Czyż ja całkiem już jestem zapomniany? — rzekł przystępując ku niej.

— Miran! mój Miran kochany! — zawołała Ellena podając mu obie dłonie, — to prawdziwie przyjemność niespodziewana! Ten pan był moim towarzyszem lat dziecięcych, — rzekła zwracając się do sir Williama, — byliśmy w przyjaźni z sobą, i w jak szczerej, serdecznej przyjaźni! Póki on był przy mnie, nie czułam nigdy, że nie mam brata!

Oblicze młodego cudzoziemca zajaśniało radością. Szczerze uradowana tem spotkaniem przyjaciela i towarzysza zabaw młodocianego wieku, poczciwe dziewczę zapomniało o wszystkich podszeptach piastunki, o miłości namiętnej, jaką Miran ku niej oddychał, i o znaczeniu, jakieby mógł temu serdecznemu przyjęciu przypisać. Baronet zrozumiał także należycie to jej zachowanie się, i był przekonany tą otwartością siostrzenicy w powitaniu Indyanina, że nigdy innego uczucia prócz braterskiej życzliwości dla niego nie miała.

Inaczej działo się z Henrykiem; miłość kochanka nie umie zimno zastanawiać się i widzieć rzeczy jakiemi są rzeczywiście. Pierwszy raz w życiu doznał gorzkiego uczucia zazdrości.

Kiedy go sir William przedstawił jako wybawcę swej siostrzenicy, ciekawą było rzeczą uważać na rozmaite odcienia, z jakiemi go przyjęli goście sir Williama. Pułkownik usiłował okazać się wdzięcznym, ale mu się to nie udało; głos jego mowy zaprzeczał wyrazom, które zdołał wyjąkać.

— Przyjaciele miss Elleny de Vere nie mogliby dostatecznie wyrazić swej wdzięczności, — rzekł Miran. — Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby mi się nastarczyła sposobność dowieść temu młodemu człowiekowi, ile oceniam jego przysługę!

Rumieniec wystąpił na czoło młodego Ashtona; czuł się obrażonym słowami Indyanina, a raczej tonem dumnym, z jakim były wyrzeczone, i obaj rywale w milczeniu spoglądali na siebie przez kilka chwil.

— Pan Henryk Ashton, do którego pan zwracasz to podziękowanie, ma właśnie wstąpić w zawód dyplomatyczny, — rzekł baronet z przyciskiem znaczącym, — jeżeli pańskie stosunki z dworami i gabinetami rządów europejskich nastręczą panu sposobność wyświadczenia mu jakiej przysługi, pewnym jestem, że przyjmie z wdzięcznością ten dowód przyjaźni.

Miran zagryzł usta i nic nie odpowiedział. Czuł, że się za daleko posunął, i że należy działać rozważnie, przynajmniej w obecności sir Williama. Ta uwaga baroneta podwójną korzyść sprawiła; raz, że stawiała Henryka na równi z gośćmi przybyłymi, a powtóre, ostrzegała Indyanina, że jego znaczenie i majątek nie upoważniały go wcale grać w Anglii rolą łaskawcy i opiekuna.

Sir William obrócił się następnie, by zobaczyć wrażenie swych słów na bratanku swoim, i uśmiech życzliwy rozpogodził jego oblicze. Walter uścisnął serdecznie rękę Henryka.

— Tak to mi się podoba, — rzekł w duchu, — muszę się bliżej zaznajomić z tym chłopakiem.

Towarzystwo przeniosło się potem do biblioteki, gdzie Miran nadaremnie szukał chwili, by z Elleną pomówić na osobności. Dziewica unikała go, wiedziona jakby wrodzonem natchnieniem.

— Widzę, żeś o mnie już zapomniała! — rzekł do niej cichym głosem.

— Jabym zapomnieć miała! — zawołała Ellena dosyć głośno, aby w całej komnacie ją słyszano, — jak możesz być tak niesprawiedliwym? Przeżyliśmy tyle chwil błogich w do-

mu moich rodziców w Indyi! Nie mogłabym zapomnieć osób, które mi były miłe, lub które dla mnie uprzejmość okazywały!

— A gdzie Zara? — zapytał Miran.

— Jest tutaj w zamku; ucieszy się niezmiernie, gdy cię zobaczy.

W czasie tej rozmowy, Henryk Ashton był najnieszczęśliwszym w życiu. Byłby pragnął zostać sam na sam z Elleną, aby z ust jej usłyszeć zapewnienie, iż Miran niczem więcej nie był dla niej, jak tylko bratem, przyjacielem. Doznał prawdziwej ulgi dopiero wtedy, kiedy przedłużywszy wizytę do ostatecznych granic przyzwoitości, pułkownik i jego towarzysz powstali, by się pożegnać z baronetem.

— Musisz mi zostawić bratanka, — rzekł sir William do brata, — chciałbym z nim dokładniejszą zabrać znajomość.

Twarz Waltera zapromieniła szczęściem, gdy usłyszał to zaproszenie, za które Miran dałby wszystko w świecie, aby się to jego osoby tyczyło; ale sir William żegnając się z nim, powiedział mu tylko oziębło, że zapewne będzie miał jeszcze przyjemność widzieć go u siebie przed wyjazdem z Anglii.

— Nie myślę jeszcze wyjeżdżać, — odpowiedział młodzieniec spoglądając w wyrazem smutku na Ellenę, — ten kraj zbyt wiele ma dla mnie uroku!

Wyjeżdżając z Opactwa, Miran i pułkownik spotkali Zarę, która usłyszawszy o przybyciu swojego wychowanka, czekała na niego. Z tem przywiązaniem namiętnem, niby na wpół dzikiem, właściwem swojemu usposobieniu, uchwyciła jego rękę, którą okrywała pocałunkami.

— Zaro, — rzekł Miran w indyjskim języku, — serce moje boleśnie skołatane!

— Nie, nie! — odpowiedziała mamka, — wąż je zranił, ale zgoi się rana. Bądź zimny jak ciemny grobowiec, a twardy jak marmur z którego wyciosany; baczne oko będzie śledzić, a zdradne ucho chciwie podsłucha wszystkie słowa, jakieby się wymknęły. Ellena powróci jednak do Indyi z tobą, a ja zawrę powieki wśród dzieci moich wychowanków, którem na mych rękach wypiastowała. Ale gdzież jest Khan? — zapytała zdziwiona.

— Nie chciał ze mną wejść do zamku, zostawiłem go we wsi.

— Pójdę po niego i wskażę ci przezeń miejsce, gdzie bezpiecznie będziemy mogli widywać się. A teraz oddal się; mieszkaniec grobu, — tak nazywała sir Williama, — patrzy na nas!

Gdy pojazd oddalał się szybkim pędem rumaków wzdłuż ulicy od zamku wiodącej, unosząc pułkownika Mowbray i zakochanego Indyanina, ten ostatni zawołał, puszczając wodze poskramianej dotychczas wściekłości.

— Czuję, że nienawidzę tego wieśniaka, tego Henryka Ashton!

— I ja toż samo! — rzekł ozięble towarzysz jego.

— Ty a to dla czego?

— Mój brat, w swej samotności, nie jest zdolny opiekować się taką dziewczyną jak Ellena. Ten młody chłopak jakby ją otumanił; ona go uważa jak równego sobie. Przypominasz sobie z jaką ironią odpowiedział ci na ofiarowanie swych przysług dla tego chłopca?

Zarumienił się Miran. Pierwszy to raz doznał upokorzenia nie odpłaciwszy bezzwłocznie zemstą za nie, i gniewało go to tem więcej, iż świadkiem tego upokorzenia był właśnie pułkownik, którym tak pogardzał.

Gdy już minęli zwierzyniec, przypomniał mu jego sprzymierzeniec, że mieli wstąpić do wsi, by zabrać z sobą Khana.

— Mniejsza o to, — rzekł młody Indyanin, — potrafi sam wrócić.

— Zobaczywszy się wprzód z Zarą, — dodał jego towarzysz z uśmiechem, — widzisz, że rozumiem cokolwiek po indyjsku, i mam tyle otwartości, że cię o tem ostrzegam. W mojej młodości przeznaczono mi urząd w Indyach; byłoby może lepiej, gdybym był przyjął tę posadę.

Miran to samo pomyślał, bo w takim razie, bardzo prawdopodobnie, pułkownik byłby został opiekunem Elleny. Odkąd zobaczył sir Williama Mowbray, przeczuwał, że Ellena miała w nim opiekuna i obrońcę, którego nie łatwo mu przyjdzie oszukać bez użycia całej swej energii i zręczności. Ale za najważniejszą rzecz uważał, żeby znaleźć sposób pozbycia się współzawodnika. Towarzysz jego temi samemi myślami był zajęty.

XVIII.

Prawie bezzwłocznie po odjeździe ojca, Walter objawił zamiar zwiedzenia kościoła

w Carrow, w którym znajdowały się pomniki jego przodów. Stryj powiedział mu, że ta świątynia znajduje się tuż w pobliżu zwierzyńca, i że będzie miał dostatecznie czasu przed objadową godziną, aby zaspokoić swoją ciekawość, oraz, że Henry Ashton niezawodnie chętnie mu będzie towarzyszyć w tej wycieczce.

Młodzian spojrzał na Ellenę, jakby chciał prosić, by także wzięła udział w tej wyprawie.

— Nie można tak trudzić Ellenę, — rzekł baronet, — niech ona ze mną zostanie.

Nie było co odpowiedzieć na ten wyrok; obaj młodzieńcy udali się sami w drogę.

— Któż jest ten Miran-Hafaz? — zapytał Henryk Waltera, idąc wzdłuż wspaniałej ulicy zwierzyńca.

— Syn księżniczki indyjskiej, która nie dbając o przesądy swej kasty, poślubiła oficera angielskiego.

— Jak się nazywa jego ojciec?

— Nigdy nazwiska jego nie słyszałem.

— Obejście się tego Mirana jest dziwne.

— Istotnie, jego zachowanie jest osobliwsze. Jest hojny aż do rozrzutności, lubi towarzystwo, ale chciałby traktować każdego kogo napotka, jakby to był podwładny. Nie postrzegłem, aby to względem mnie czynił; ale w jego rozmowach z drugimi uważałem, że ich uważa za niższych od siebie i to mi dało niekorzystne wyobrażenie o jego charakterze.

Miał tu na myśli ojca swojego i Henryka, mówiąc o *drugich;* ale uszanowanie i wrodzona delikatność nie pozwalały jaśniej mu się tłumaczyć.

— Najlepszy z niego strzelec jakiego mi się poznać zdarzyło, — mówił dalej Walter, — widziałem, jak strzelając z pistoletu na dwanaście kroków odległości, trzykrotnie raz po raz zgruchotał trzy kostki od gry.

— Zapewne pokłada zaufanie w swojej zręczności, — rzekł Henryk z goryczą.

— To bardzo być może; nawet gotów jestem w to uwierzyć, bo wiele było przesady w sposobie przekonania nas o swojej wprawności.

Kiedy tak rozmawiając młodzieńcy zbliżali się ku świątyni, wrażenie korzystne, jakie wzajemnie na siebie wywarli, utwierdzało się coraz silniej.

Walter Mowbray z całą otwartością wspominał swoją kuzynkę, której piękność i wdzięk nieokreślonej łagodności szczerze podziwiał, dodając.

— Jestem przekonany, że ją pokocham jak najmilszą siostrzyczkę.

To imię siostry uspokoiło nieco uczucie obawy, jakiego doznawał jego rówieśnik. Tyle było naturalności i szczeroty w mowie i zachowaniu się Waltera, że podejrzenie Henryka Ashton niknąć poczynało, pomimo, że kochankowie należą zazwyczaj do klasy ludzi zazdrosnych.

Przez resztę drogi, rozpytywał się jeszcze wiele o młodym Indyaninie, osobliwie o jego nieporównanej trafności w strzelaniu pistoletu.

— Muszę i ja się ćwiczyć, — pomyślał sobie w duchu; i może nie wiedząc dla czego, powziął chętkę nabycia wprawy w tej sztuce.

Kościołek w Carrow był jednym z tych pięknych zabytków przeszłości często napotkanych w wschodniej Angii. Okna w ostrołuk zakończone wskazywały, że założony być musiał za czasów wkroczenia Normanów, ale szczegóły jego budownictwa w wielkiej części ukryte były pod zasłoną bluszczu, który go prawie całkiem swemi zielonemi splotami obrastał. W chórze znajdowały się śliczne grobowce i ciekawe pomniki, ozdobione po większej części herbami Mowbray'ów. Gdy weszli do kościoła, spotkali mężczyznę wysokiego wzrostu o śniadej cerze, mogącego mieć lat pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt w ubiorze wschodnim. Powitał Waltera głębokim ukłonem i oddalił się.

— Któż to jest? — zapytał Henryk swojego towarzysza.

— Nazywa się Khan, i zajmuje stanowisko pośrednie między sługą a przyjacielem Mirana-Hafaz. Biedne człowieczysko! musi się nudzić w naszym kraju, nie rozumiejąc ani słowa po angielsku.

— Czy istotnie tak pan sądzisz? —zapytał ktoś obok nich.

Obrócili się, i Henryk poznał Dick Martina, masztalerza, siedzącego na jednym z grobowych kamieni. Jego ciekawość, podobnież jak młodych naszych przyjaciół, wzbudzoną była widokiem tego w niezwykłym stroju cudzoziemca, którego we wsi spotkał i wszedł za nim aż do gmachu kościelnego, w którym się ukrył, podczas gdy podróżny zajęty był oglądaniem świątyni.

— Jestem o tem przekonany, — odrzekł

Walter, — dla czegoż miałbyś o tem powątpiewać?

Stary sługa utkwił wzrok badawczy w oblicze młodzieńca, jakby chciał nabrać przekonania, że go nie myśli oszukiwać, zanim wyjawił, dla czego ma powody sądzić, że ten cudzoziemiec nie jest tak nieświadomy angielskiego języka, jak to może daje do zrozumienia.

— Zaraz to panu wytłumaczę — rzekł starzec, widocznie uspokojony tem badaniem. — Widzisz pan tę galeryę? — dodał wskazując miły chórek dębowy rzeźbiony sztucznie, który dawniej służył dla śpiewaków kościelnych. — Widzisz ją, ale nie wiesz kto tam siada zazwyczaj. Master Henry wie to dobrze. To jest miejsce dla dzieci do szkółki uczęszczających. Wiele starców z siwiejącą dzisiaj głową słyszeli z tej trybuny pierwszy raz modlitwy słowa. Gdybyś pan wszedł tam, by wewnątrz przypatrzeć się dębowym taflom galeryi, ujrzałbyś imiona i daty niewprawnemi rękami wyrznięte. Wiele z tych imion mógłbym wskazać na grobowych płytach cmentarza.

— Cóż to wszystko może mieć za styczność z tym cudzoziemcem? — zapytał Henry mocno rozciekawiony słowami Marcina.

— Może niezbyt wielką, to prawda, bo wreszcie mógł to być prosty traf lub ciekawość... Ten cudzoziemiec, jeżeli zresztą jest obcym, znalazł od razu schodki prowadzące na chórek, które się znajdują za drzwiami głównego chóru, i trafił do nich tak łatwo, jak ja, kiedym w dziecięcych latach co niedziela do trybuny chodził; pobierałem bowiem także nauki w szkółce tej wsi aż do dnia, kiedy mnie dziadek sir Williama do służby przyjął.

— I cóż dalej? — zawołali obaj młodzieńcy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PAPUGA.

Powiastka.

CHOROBA KAROLINKI.

Malarz jeden bardzo zdatny stracił żonę, którą kochał niezmiernie; została mu tylko córka, pociecha jego jedyna.

Nie mając innego majątku, oprócz talentu malarstwa, nie zawsze miał pieniądze; ale skoro sprzedał który z obrazów swoich, zawsze kupił coś dla córki.

Karolinka, (takie było imię córki malarza) godną była miłości ojca: posłuszna, łagodna, pracowita, patrzyła mu tylko w oczy, czemby mu się przypodobać. — Karolinka bardzo mocno zachorowała i ojciec struchlał o jej życie. Siedział dzień i noc przy łóżku córki, miał największe o niej staranie, i modlił się gorąco do Boga, aby mu ją zachować raczył. Karolinka przez kilka dni była między życiem i śmiercią; najlepsi lekarze używając na próżno najdroższych lekarstw, wyznali, że nic nie poradzą. Biedny ojciec prawie w rozpacz zachodził.

Tymczasem nad ich spodziewanie, po kilku dniach okropnej trwogi i niepewności, dziewczynka zaczęła się mieć cokolwiek lepiej, i lekarze zdziwieni i szczęśliwi, oświadczyli ojcu, iż minęło niebezpieczeństwo, a córka jego przy wielkiej baczności przyjść może do siebie zupełnie.

Lecz powrót do zdrowia bardzo był przykry i długi. Najmniejsza rzecz, zimno najlżejsze, wszystko szkodziło Karolince; prócz tego dziewczynka dawniej wesoła, żywa, pracowita, zrobiła się smutna, powolna, do niczego. Ojciec dla zabawienia rozpowiadał jej różne historye i bajki, pokazywał jej swoje malowania i rysunki, rysował przy niej, kupował jej różne rzeczy, ale to wszystko nic nie pomagało, Karolinka zawsze była smutna.

KAROLINKA MÓWI OJCU COBY JĄ UZDROWIŁO.

Ojciec Karolinki bardzo był zmartwiony, widząc ją ciągle słabą i smutną; jednego dnia wziął ją na kolano i powiedział: „Moje dziecię drogie, gdybym zgadnąć mógł, coby ci przyjemnem było i rozweseliło cię, poświęciłbym połowę tego co mam i kupiłbym ci”.

Na te słowa oczy Karolinki zajaśniały radością, uśmiechnęła się mile i rzekła: „Kochany tato! ja sama się wstydzę, żem taka dziwna się zrobiła po tej chorobie, jednak zdaje mi się, że gdybym miała papugę, którąbym uczyła gadać, byłabym weselszą".

Ojciec poszedł natychmiast do kupca handlującego zagranicznemi ptakami, który miał prześliczną młodą papugę z zielonemi i czerwonemi piórkami. Kupiec zaręczył, że była bardzo zmyślna, łagodna i wielką miała zdatność do gadania; ale żądał koniecznie dziesięć dukatów za nią. Malarz, który w czasie choroby córki przerwał był robotę swoją, a wydał na leki wszystkie dawne zapasy, dwa dukaty tylko posiadał i te dać ofiarował. Ale kupiec ani słuchać chciał, i malarz wrócił bardzo zmartwiony do domu.

KUPIEC WCHODZI W UKŁADY Z MALARZEM.

Dochodząc do drzwi domu swojego, malarzowi stroskanemu przyszła myśl do głowy, która mogła wszystkim dogodzić. Wrócił natychmiast do kupca i podjął się, że mu wymaluje tablicę do jego sklepu, na której będą najpiękniejsze ptaki w świecie; a tak starannie zrobi ten obraz, iż mu wiele ciekawych i kupujących zwabi.

Kupiec przystał na ten układ. Malarz uszczęśliwiony wrócił do domu, zamknął się w mieszkaniu swojem i zaraz wziął się do dzieła. Z jakąż usilnością pracował! Praca jego miała mu dostarczyć sposobności dogodzenia żądaniu ukochanej córki. Co dzień chodził do ptaszarni i uczył papugę tych słów: „Karolinko! Jak się masz Karolinko! Bądź wesoła! Karolinka dobra dziewczynka". Papuga słysząc często te same słowa, nauczyła się ich.

RADOŚĆ OJCA I CÓRKI.

Tablica z ptakami tak wybornie udała się malarzowi, że jak ją kupiec zobaczył, tyle był kontent, iż więcej dał za nią niż obiecał; bo nie tylko odstąpił papugę, ale dołączył do niej piękną i dużą klatkę.

Co malarz przepowiedział, stało się. Gromadzili się ludzie dla widzenia malowanej doskonale tablicy, a wiele osób kupowało żywe ptaki i kupiec wielkie zarobił pieniądze.

Poczciwy ojciec wziąwszy papugę z klatką, udał się ku domowi, a w drodze powtarzał jej ciągle wiadome słowa. Papuga też, jakby zrozumiała, ledwie ją wniósł do pokoju, w którym córka smutna i zamyślona siedziała, zaraz zagadała: „Karolinko, jak się masz? Karolinko, bądź wesoła. Karolinka, dobra dziewczynka". Karolinka tyle się zdziwiła i ucieszyła tym widokiem, że zaczęła natychmiast skakać i wesoło śmiać się na głos, czego od choroby wcale nie robiła.

Od tego czasu, bądź że podobnego wzruszenia potrzebowało jej zdrowie, bądź że w samotności, w jakiej zwyczajnie dnie jej schodziły, koniecznem jej było choć ptaka towarzystwo i rozmowa, Karolinka wyraźnie do siebie przychodzić zaczęła.

Czerstwość, rumieniec, wesołość wracały jej widocznie. Śmiała się serdecznie, ile razy papuga zagadała: „Karolinko, jadłaś śniadanie? Ja nie jadłam, dać mi trzeba". Papuga uczyła się tych słów od malarza, przy którym chętnie siadała, kiedy on malował; chodziła sobie po całym domu jakby dziecko. Karolinka za wszystkie skarby świata nie byłaby jej odstąpiła nikomu. Nauczyła ją także kilka rzeczy, a między innemi tych słów, które wyraźnie mówiła: „Ojciec dobry jest, kocham ojca nad wszystko."

ZMARTWIENIE.

W kilka miesięcy potem, malarz zachorował. Karolinka pilnowała troskliwie ojca, oddawała mu starania, jakie on niedawno koło niej łożył. Choroba, choć nie niebezpieczna, przedłużała się. Malarz nie mogąc pracować, nic nie zarabiał, aż mu nareszcie pieniędzy brakło. Już Karolinka sprzedała kolczyki, pierścionki swoje, zegarek, wszystko co miała droższego, dla zapłacenia lekarstw i doktora; ale wnet i tego nie stało, i Karolinka nie wiedziała jak sobie poradzić. „Zkąd tu wziąść pieniędzy — mówiła płacząc — już nic nie mam ani sprzedać ani zastawić, a tu ojciec lekarstw i wygód potrzebuje." — W tej chwili papuga zagadała: „Ojciec dobry jest, kocham ojca nad wszystko. Karolinka dobra dziewczynka".

WIELKA OFIARA.

Wtedy Karolinka wielką ofiarę zrobić zamyśliła.

„Dobrze mówisz, papugo moja — rzekła — ojciec dobry jest, ojca kocham nad wszystko, a zatem nad ciebie. Chcę być, jak mówisz, dobrą dziewczynką. Rozdzielimy się z sobą, chociaż Bóg sam widzi, ile mnie to kosztuje".

Wzięła papugę, i przez czas, kiedy ojciec spał nieco spokojnie, poszła do kupca, chcąc mu ją odprzedać. — Kupiec, który tak dobrze wyszedł na malowanej tablicy, zapłacił jej chętnie za ptaka z klatką owe dziesięć dukatów, które niegdyś od jej ojca żądał.

DOBRY POSTĘPEK KAROLINKI DOSTAJE NAGRODĘ.

Malarz ozdrowiał, ale bardzo mu była bolesna ofiara córki, i wierzyć jej nie chciał, gdy mu mówiła, że nie tęskni za papugą.

Hrabia jeden bogaty kupił rozkosznego ptaka dla swego dwunastoletniego syna, i bardzo go drogo zapłacił. — Panicz nie mało się dziwił słysząc zawsze papugę krzyczącą: „Jak się masz, Karolinko? Karolinka dobra dziewczynka". Cała rodzina i domowi radzi byli wiedzieć, co to za Karolinka, o której papuga nieustannie gadała. — Zapytano się nareszcie kupca, który dał adres mieszkania Karolinki, wychwalając oraz niezmiernie serce córki i talent ojca. — Hrabia przywołał malarza do siebie i kilka robót mu nakazał, które suto zapłacił; uznawszy w nim dobrego artystę, poczciwego człowieka i ojca, wybrał go za nauczyciela rysunków synowi. — Razu jednego zapytawszy się malarza, czemu pozbył się papugi, ten mu opowiedział ofiarę córki, czem go do łez rozrzewnił. Nazajutrz malarz i córka jego zaproszeni zostali na obiad do hrabiego i bardzo mile przyjęci. Hrabina darowała Karolinie bardzo wiele pięknych rzeczy w zamian za owe, które w czasie choroby ojca sprzedała. Hrabia dał jej zegarek, a co więcej, pensyę dożywotną jej ojcu zapewnił. Dwunastoletni panicz nawet, ujęty dobrem sercem Karolinki, oddał jej papugę z klatką. Do śmierci już u niej była i powtarzała te słowa: „Karolinka, dobra dziewczynka".

POWSZECHNA MOWA HANDLOWA.

Idea utworzenia mowy powszechnej dla interesów między-narodowych znalazła wielu zwolenników w ostatnich trzydziestu latach we Francyi, Niemczech i Austryi. Pomimo iż lingwiści i literaci wątpią, iżby można wynaleźć mowę sztuczną, któraby miała prawdziwą wartość, to ludzie praktyczni mówią, że żyjemy w wieku pary i elektryczności, w którym dziennie prawie nowe wyrastają potrzeby, a w którym to co zdaje się niemożebliwem dzisiaj, urzeczywistnia się jutro.

Nikt atoli nie myśli już dzisiaj o utworzeniu mowy, którąby, jak w czasach starożytnych język grecki lub w czasach średniowiecznych łacina, miała się stać powszechnem narzędziem wiadomości i nauki; o tej mrzonce nie myśli już nikt.— Dyplomaci atoli mają wspólny język, który używają w stosunkach swych międzynarodowych. Czemużby nie mogli mieć nasi podróżni, kupcy i biznesiści korzystny środek do komunikacyi, któryby był pojedyńczym i praktycznym, któryby im dozwolił bezpośrednio załatwić swe interesa z domami handlowemi w Europie i w innych częściach świata?

Gdyby istniała mowa powszechna, natenczas podróżujący mógłby być zrozumianym w każdym kraju a ta sama gazeta handlowa mogłaby być czytaną we wszystkich miastach kuli ziemskiej.

Użyciu jakiegokolwiek języka europejskiego w tym celu, sprzeciwiają się dwie rzeczy: współzawodnictwo narodów i trudności każdego rodzaju, jakie nauczenie się języka każdego przedstawia.

Leibnitz i Descartes usiłowali już utworzyć mowę powszechną. Wiele nauki i cierpliwości poświęcono rozwiązaniu tej kwestyi, lecz pomiędzy 50 czy 60 systemami, które zaproponowano w przeciągu dwóch ostatnich wieków, nie ma ani jednego, któryby miał wartość praktyczną.

Dopiero w ostatnich czasach zdołał niejakiś Schleyer, po dwudziestu latach gorliwej pracy, rozwiązać trudną tę kwestyę i utworzył system, który nazywa Volapuk czyli „mową powszechną."

Z różnych narzeczy europejskich wyjął cechy charakterystyczne i utworzył mowę harmoniczną, pojedyńczą i łatwą do nauczenia.

Pomimo iż Schleyer ogłosił język ten dopiero w roku 1881 to już tysiące ludzi w różnych krajach europejskich używają go. Utworzyły się 53 towarzystwa zajmujące się jego rozpowszechnieniem w Niemczech, Austryi, Holandyi, Szwecyi, Anglii, Stanach Zjednoczonych i nawet Syryi.

Człowiek znający którykowiek z języków romańskich lub teutońskich może się nauczyć mowy „Volapuk" w przeciągu kilku miesięcy. Gramatyka jest bardzo pojedyńczą. Wszytkie rzeczowniki są rodzaju męzkiego, wyjąwszy tych, które oznaczają imiona rodzaju żeńskiego. Podług bardzo pojedyńczych prawideł tworzą się słowa i przymiotniki z rzeczownika. Każdy przymiotnik kończy się na i k n. p. n u l „nowina," n u l i k, „nowy".

(Dokończenie nastąpi).